Rok 1937 14 listopada Nr 46

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"



Cudowna Komunia Świętego Stanisława Kostki.

Mimo zamkniętych bram...

Obce, zimne, nienawiścią i pogardą tchnące do wszystkiego co katolickie, oto mieszkanie protestanta Kimberkera w Wiedniu... Tam, na łożu, chorobą śmiertelną złożony, leży polski młodzieniaszek — Stanisław Kostka...

Jakże daleko stąd do ukochanego domu rodzinnego w Rostkowie na polskiej ziemi, do słodkiego oblicza matki, do rówieśnych chłopaków wiejskich, między którymi ma poczciwe, oddane sobie serce!...

Tu jeno starszy brat Paweł, miłujący go wprawdzie, ale tak dziwnie, po swojemu, tak inaczej, niżby pragnęła dusza Stanisława. A po za nim stary Bieliński, któremu pieczę nad synami zdał pan-ojciec, kiedy ich wysyłał na nauki za granicę. Miły Boże... jakaż nieszczęsna to ta opieka, z której nic sobie nie robi Paweł, która raczej Pawłowi podlega...

I oto teraz on... Stanisław, leży sam, bez opieki jedynej, jakiej pragnie... Wszak czuje wyraźnie, że już dłużej żyć nie będzie, że się już rychło w nową wybierze podróż daleką, poza wszystkie ziemi granice...

Jakże mu jednak iść tam bez cudownego na drogę pokarmu, bez owego Chleba bielutkiego w maleńkiej hostyjce, co by mu była „listem żelaznym“ bezpieczeństwa na wszelakiego wroga napaści, co by mu za świadectwo życia posłużyła w chwili zjawienia się przed Bożym obliczem?...

Nie wpuści tu jednak do swego domu zawzięty Niemiec Chrystusowego kapłana, bo nienawidzi on jednako Chrystusa, jak i Jego sługę. Nie ma ludzkiej mocy, którąby to odmienić zdołała — pójdzie przeto Stanisław w oną drogę daleką sam, bez anielskiej pociechy...

Żałość bezmierna ogarnęła serce pacholęcia. Nie długo jednak trwała. Samo wspomnienie umiłowanej nad życie Matki Niebieskiej, do której tęsknił wieczyście, w słodkość zamieniło gorycz wszelaką.

Uciszył się w sobie i zasłoną powiek odgrodził od świata.

Lecz cóż to!? Światłość jakaś przemożna wdziera się w schowane głęboko źrenice... Blaskiem lśni cała komnata. Czyżby to już wschodziła zorza wieczności?...

Ugięły się kolana pod schorzałym ciałem, dłonie w krzyż złożyły się na piersiach i cała dusza świętego młodzieńca chyliła się kornie przed Tym, co w swej niepojętej łasce przyszedł sam oddać mu się na własność przez ręce anioła.

I przyjęły wargi Stanisława, mimo zamkniętych bram protestanckiego domu niebiański chleb żywota. A wraz z nim wstąpiło weń nowe życie, albowiem nie był mu jeszcze naznaczony kres ziemskiej wędrówki.

Czekał go Rzym daleki, czekały go mury zakonu Jezuitów, cicha cela klasztorna... I czekała go dopiero tam, wśród obcych, śmierć upragniona, oddanie duszy w ręce Przenajsłodszej Dziewicy-Matki.

A śmierć tę w mieście Apostołów i Męczenników otoczyć miała aureola świętości, której blaski opromieniły odległą ziemię polską, która go wydała.

O.

Synowska miłość Eskimosa

Niejednemu z nas, ludzi białych, wydaje się często, że do uczuć miłości, przyjaźni, wdzięczności, nie są zbyt zdolne ludy ras kolorowych, stojące na niskim jeszcze poziomie kulturalnym. Mylimy się jednak bardzo w takich sądach, a już szczególnie, gdy chodzi o miłość macierzyńską Murzynek czy Indianek, Eskimosek itd. Dzieci są dla nich tak samo, jak dla naszych białych

matek, najdroższym skarbem, dla nich gotowe są one ponieść największe ofiary, a nawet chętnie oddać własne życie.

Jeszcze może bardziej wzruszającą bywa miłość dzieci kolorowych dla swoich rodzicielek. Oto jaki prześliczny obraz miłości dziecięcej dla matki daje nam pewien chłopiec eskimoski z dalekiej, lodowej Grenlandii.

Rodzina złożona z ojca, matki i dwóch synów, została nagle bez swego żywiciela. Po śmierci ojca objął jego obowiązki jako opiekuna starszy chłopiec, liczący lat 12. Wiadomo zaś, jak ciężkie warunki życia panują w owej krainie wiecznystych lodów, gdzie wszystko zdobywać trzeba własną pracą i największym wysiłkiem.

Nie przerażało to jednak dzielnego chłopaka. Zahartowany od urodzenia i pouczany przez ojca we wszystkich pracach, jakie Eskimosom zapewniają życie, jął się myślistwa i rybołóstwa, odganiając z trudem grożącą tam wszystkim wieczyście śmierć z braku pożywienia. Nie lekko szło 12-letniemu dzieciakowi, to też wkrótce zabrakło w domu mięsa. Na dobitek rozchorowała się ciężko matka, a wreszcie i na wierne psy eskimoskie padł niespodziewany pomór. Straszliwa śmierć z głodu i mrozu wyszczerzyła swe zęby nad osierociałą rodziną.

Cóż tedy robi 12-letni opiekun? Wie on, że kędyś daleko od ich siedziby znajduje się posterunek ratowniczy, skąd jedynie oczekiwać można pomocy. Ale przecież stamtąd nikt do ich chaty nie przyjdzie ni przyjedzie, a bez pomocy matka umrze z choroby, braciszek zginie z głodu. Zaprzęga więc ostatnie dwa pozostałe przy życiu psy do sanek, umieszcza na nich chorą i braciszka, i sam zaprzęgnąwszy się niby trzecie zwierzę, puszcza się w podróż przez lodowe pustynie ku zbawczej stacji misyjnej.

Nie ma litości nad nieszczęsnymi wędrowcami okrutna przyroda podbiegunowej krainy: właśnie na najsroższe wysila się mrozy, na najdziksze burze śniegowe. Zimnem lodowym zabije wszystkich, a potem usypie nad nimi kurhan z śnieżnej kurzawy, że dopiero kiedyś, kiedyś, gdy słońce zejdzie nad nieszczęsną ziemią Grenlandii, ktoś przypadkiem odnajdzie wspólny grób rodzinny.

Czyż dowiemy się kiedy, co wlewało w zastygające z zimna ciało chłopczyny nowe siły do przezwyciężenia rosnących na każdym kroku trudności? Czy się dowiemy kiedy, jaki to głos wewnętrzny szeptał mu słowa chrześcijańskiej nadziei i ufności we wszechmocne miłosierdzie Boże? Dość, że młodziutki bohater, przebywszy straszliwe bezdroża stusześćdziesięciu mil angielskich po lodach i śniegach, dotarł wreszcie szczęśliwie ze swymi skarbami do przystani ratunku.

Tam pod troskliwą opieką białych misjonarzy i misjonarek biedna matka odzyskała zdrowie i wkrótce z powrotem o jej i brata młodszego utrzymanie troszczył się dzielny syn starszy. Dobrzy ludzie wzruszeni bezprzykładną odwagą i miłością młodziutkiego Eskimosa, przychodzą mu dziś z pomocą w ciężkich obowiązkach żywiciela rodziny.

Należałoby, aby wszyscy synowie w naszej Polsce zastanowili się sumiennie nad tym, czy w ich sercach pali się podobny ogień miłości dla matki i czy byliby zdolni do takich dla niej trudów i poświęceń.

ZAGADKA LITEROWA

Pierwsze — drugie — trzecie
Ślicznie śpiewa w lecie.
Drugie — trzecie — szóste
nie zostawi puste
miejsce, gdzie ukłuje,
bo się nie żałuje.
Zaś **pierwsze** i **drugie**
wraz z **trzecim** i **szóstym**
brzęczy mile w polu
wśród żeńców okolu.
I znów **pierwsze — drugie**
z czwartym — piątym — szóstym
rozkoszne stworzenie
kiedy jest młodziutkim.
Całość ni to imię,
ani też przezwisko,
ale dla Polaków przesłodkie nazwisko.
Pacholę je miało z wielmożnego rodu —
bogactwem wzgardziło, oddało się Bogu.

Patrol Lwów

Powieść harcerska. Napisał Kazimierz Kalinowski

(Dalszy ciąg)

Ledwie przebrzmiały ostatnie słowa, pan Zbigniew, jakgdyby sam młodzieniaszkiem był, zbiegł z góry na drogę i niby kula wpadł między chłopców. Nie wiedział kogo chwyta w ramiona, kogo tuli do piersi, tylko w lewo i w prawo rzucał się szalony radością żywiołową, ściskał po kolei wszystkich sześciu — i dopiero głos Leszka usłyszawszy, poznał, że właśnie na sam koniec witał się z bratankiem, wycałowawszy wprzódy o zmroku nieznajomych a nowych przyjaciół.

— W serce mierz, sercem bierz — powtarzał wzruszony, gdy tuż nad uchem huknęło z piorunującym naciskiem na ostatnią zgłoskę: „W pochód!“

WSPÓŁZAWODNICY.

Kiedy umyci i oczyszczeni po podróży, zeszli się goście krakowscy w świetlicy dworu grzybowskiego, zaczął im dziedzic przypatrywać się przy lampie.

Przedtem w kapeluszach miękkich, ciemnopopielatych, z szeroką kresą i żółtym rzemykiem pod brodą, objuczeni tobołkami, mieli wygląd inny, niż tu w pokoju. Odziani są jednako. Zamiast bluzy koszula flanelowa szaroniebieska z zapinanymi kieszeniami i żółtym paskiem; krawat biały, świeżo na chwilę uroczystą zawiązany... i to w jakiś węzeł osobliwy; dalej wełniane spodenki poniżej kolan, barwy sinopopielatej i takież pończochy z zielonym szlakiem, a trzewiki wysokie żółte, sznurowane.

Broń w postaci prostych niepodkutych kijów, wysokości ich właścicieli, została w kącie przedpokoju; tylko dowódca oddziału Leszek Zawisza, wysoki, barczysty brunet z drobnym wąsikiem, wniósł do świetlicy swoją laskę i wetknął w ziemię jednego z ogromnych wazonów z kwiatami na podłodze przed oknem weneckim.

— Ponieważ na kilkanaście godzin obóz nasz ma stanowić dwór stryja, przeto sztandar tutaj rozwinę — rzekł Leszek i na szczycie kija odpiął rzemyczek a wtedy nad zielenią zachwiała się biała chorągiewka, na której godła naszyte były z obu stron złotą nicią.

Po jednej, pośrodku rozbiegających się niby ze słońca promieni, widniała twarz Mickiewicza. Po drugiej lew dzierżył tarczę, a na niej serce z napisem. Czuwaj! W okolo tarczy biegły wstęgą, na pięciu linijkach drobne nutki, składające melodię hejnału krakowskiego, który był hasłem zastępu młodzieniaszków.

— Więc macie za patrona wieszcza Adama, jak z tego widzę — rzekł dziedzic, przyjrzawszy się pilnie proporcowi.

Leszek wyjaśnił, że ich patrol czyli zastęp jest częścią krakowskiej drużyny harcerzy imienia Mickiewicza.

— A ponieważ każdy zastęp ma nazwę od zwierzęcia, którego głos służy mu za „zawołanie“ do porozumiewania się, jesteśmy Lwami i oto nasze godło widzi stryj na białej chorągwi, bo taka jest barwa naszego zastępu.

— Symbol waszej czystości, co? — dodał stryj. — Więc pęku wstążek, jak skaut angielski, na ramieniu nie nosicie, na znak, jaki jest kolor patrolu?

— Nie. Chorągiewka i krawat tylko, jednaki dla wszystkich, wskazują nasze barwy. Ale krawat bierzemy jedynie od święta, bo przy naszych marszach i zajęciach obozowych nigdy nie byłby białym. Zato miękki kołnierz koszuli wiążemy zwykle białym sznurem w węzeł skautowski, który przypomina nam obowiązek spełniania codzień bodajby jednego dobrego uczynku.

W tej chwili wszedł do pokoju ostatni z chłopców.

(Ciąg dalszy nastąpi).